ROCZNIK V. Nr. 5 (101). 1 GRUDNIA 1906.

NOWE SŁOWO

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - LITERACKI.
WYDAWCZYNI I REDAKTORKA: MARYA TURZYMA.

KRAKÓW • REDAKCYA I ADMINISTRACYA: UL. SZUJSKIEGO 7.
PRENUMERATA KWARTALNA: 3 KOR. 1 RS. 50 KOP. 3 MAR. 3 FRAN. 50 CENT. ROCZNIE: 12 KOR. 6 RS. 12 MAR. 14 FRAN.



cznego uposażenia nie ustępowały mężczyźnie, to musiało wpływać na ich psychikę. Bardzo wiele plemion zachowało podania o dawno wymarłych armiach dziewic-rycerek, o amazonkach obdarzonych siłą niezwykłą, postawą wojowniczą i walczących na równi z rycerzami mężczyznami za swoją ziemię, za wolność rodu lub plemienia. Takie podanie ma Grecya starożytna, takież same i ludy Ameryki Południowej z nad fal Amazonki, takie same i Germanowie barbarzyńscy, a i dziś jeszcze król Dahomeju trzyma w państwie swojem armię kobiecą. Oto postać pierwotnej kobiecości, — typ, którego napewno współcześni mu nie uważali za wynaturzony i nawet dzisiejsze, najbogobojniejsze, najgospodarniejsze niewiasty niemieckie, czcicielki owej trójcy osławionej: „Kirche, Kind und Küche“, miały za przodka żeńskiego, rycerskie Walkirye, Brunhildę, co temu tylko rękę oddać postanowiła, kto ją w walce zdoła pokonać.

Weźmy i dzisiaj kobiety plemion dzikich. Czyż noszą one to znamię wspólne z nami, które na nas i na nich powinna wyciskać jedność płci? Znanym jest faktem krwiożerczość i okrucieństwo kobiet tych; wiadomo, że przechodzą one w rysach drapieżności mężczyzn, którzy zdobytych na wojnie niewolników oddają kobietom plemienia, dla wywarcia zemsty krwawej, lub wymierzenia kary. Że nasze subtelnie czujące kobiety na widok krwi mdleją, to nie jest ich natura, a wpływem naszej kultury tysiącletniej, która je usunęła z pola bitew. Nie przesuwajmy więc teraźniejszości w przeszłość i nie czyńmy pierwszych przodkiń naszych słabemi, a pełnemi serca.

I jeszcze jedno. Nie nazywajmy ich płcią piękną. Jest to anachronizm. Pięknym w królestwie zwierzęcem jest zawsze samiec, widzimy te wszystkie grzywy, pióra barwne, rogi gałęziste — ozdoby, przeznaczone do wyraźnego celu; pozbawioną ich jest samica, jako strona, która nie ubiega się o niczyje względy, ale która sama jest przedmiotem ubiegań. W pierwotnych hordach ludzkich, mężczyzna musiał dbać o piękność i wiemy dokładnie, że on to, a nie kobieta, starał się spotęgować swoje wdzięki przy pomocy świecidełek, ozdób, tatuowania. Role zmieniły się dopiero później, gdy kobieta popadła w zależność ekonomiczną; gdy musiała się wdzięczyć i upiększać już, nie idąc za popędem płci, lecz poprostu, by sobie byt zabezpieczyć. Że jednak nie odrazu jej przypadła jako wyłączny monopol nazwa płci pięknej, dowodzi jeszcze starożytność grecka ze swoim kultem piękności młodzieńców i ćwiczeniami, mającemi doskonalić piękne kształty męskie.

Spencer w jednym ze szkiców swoich przedstawił plastycznie, jak się urabiał typ kobiety poddanki, typ, którego życie dziejowe zaczyna się w mrokach barbarzyństwa, a który nam jeszcze dzisiaj piętno kładzie na czołach. I oto rysy, które uważamy naiwnie za przyniesione już ze

sobą na świat przez pierwszą kobietę, stają przed nami jaskrawo jako konieczne nabytki naszej kultury. Ów rys tak *par excellence* kobiecy, zalotność, toż to tylko broń w walce o byt; ta pokonała rywalki w poszukiwaniu ramienia chroniącego w życiu, która tego, co to ramię mógł ofiarować, najlepiej wziąć umiała przez swoje wdzięki. Kokieterya, początkowo zamknięta w sferze czysto zmysłowej, nawet i dziś nie jest zupełnie odtrąconem narzędziem: oprócz takiej, którą zwykliśmy nazywać wrodzonym wdziękiem, powabem, obserwujemy jeszcze pewien rodzaj usubtelnionej nieco licytacyi po salonach.

Taż sama walka o byt, wytworzywszy coraz większe starania o wdzięki, urabiała kolejno i rysy charakteru, które dziś nazywamy czysto kobiecemi: ową intuicyę, odgadywanie w lot myśli mężczyzny, od którego się zależy, by się wysunąć w jego łaskach na pierwszy plan wobec rywalek i pewną podstępność, maskowanie się, broń, która potrafiła nieraz zastąpić broń inną, przemoc fizyczną, zagarniętą wyłącznie przez mężczyzn, i wrażliwość na drobiazgi, gospodarczość, praktyczność i uznanie dla wszelkiej siły, utożsamianie „męskości“ z siłą fizyczną itd. Są to wszystko wyniki tresury niewolniczej, to też u niewolników moglibyśmy wykryć z łatwością pewne powinowactwo duchowe z kobietą, pewne rysy „kobiecości“. Spencer pokazał nam pod światło duszę kobiecą, wykazując zarazem, że stosunek jej do mężczyzny jest jeszcze dzisiaj odnoszeniem się niewolnicy do władcy. Wszystkie stosunki na świecie z biegiem czasu ulegają zmianom, ten jeden zakonserwował się świeży od epoki naszych najodleglejszych przodków. Im dłużejby trwał, tem skończeniej wymodelowanym wychodziłby z jego ręki „typ kobiecości“, tem ostrzej zarysowywałby się kontrast psychiczny między dwiema płciami.

Zobaczmy teraz, co rozumiała przez kobiecość ludzkość, w osobie swoich myślicieli, lub w poglądach, wyrażających nastrój intellektualny różnych epok.

Arystoteles, który we wszechświecie widzi dwa pierwiastki: formę czynną i kształtującą oraz materyę nieokreśloną i bierną, która dopiero w zetknięciu z formą daje nam ciała i zjawiska, będące przedmiotem naszych spostrzeżeń, Arystoteles pierwiastek męski zestawia z formą, żeński z materyą, ten drugi tylko w zetknięciu z pierwiastkiem męskim staje się czemś rzeczywiście istniejącem. Chrześcijaństwo z wczesnych epok każe unikać kobiety jako siły szatańskiej, wcielenia pokusy, co staje duszy wpoprzek drogi, wiodącej do zbawienia. Pogląd to zresztą prawie wszystkich wielkich religii, który utrwala się tem bardziej, im więcej zatracają one swoją siłę żywą i stają się systemem skostniałych lub zatęchłych formułek. Lehmke w „Estetyce“ swojej przytacza pogląd, który miał zawsze i ma olbrzymie hufce wyznawców, że kobiecość powinna być zupełnem

przeciwstawieniem wszystkiego, co męskie; prawdziwa kobieta nie powinna posiadać ani jednego rysu wspólnego z mężczyzną, powinna natomiast być uzupełnieniem mężczyzny. Stosunek Schopenhauera do kobiety jest znany: ród ludzki byłby szlachetniejszy i wyższy, gdyby jego rozwoju nie tamowały te istoty niskie i niedorosłe do wielkich zadań. Weininger, twórca całego systemu filozoficznego, opartego na dualizmie płci, idąc za Arystotelesem, pierwiastek męski nazwał bytem, żeński niebytem. Modernistyczny odłam myśli współczesnej wogóle nieprzyjaźnie odnosi się do kobiety; Nietzsche wypowiada się wyraźnie jako jej wróg; Przybyszewski i pokrewne mu duchy we wszystkich literaturach uważają ją za wcielenie siły kosmicznej, potężnej, demonicznej, a niosącej zagładę.

We wszystkich tych fantazyach, więcej lub mniej podmiotowych, uderzają nas dwie wspólności: nigdzie prawie kobiecy czynnik nie występuje jako pozytywny; rzeczywistym jest pierwiastek męski, kobiecy stanowi jego przeciwstawienie, czasem uzupełnienie. To jedno, a drugie jeszcze bardziej zasadnicze: kobiecość nie jest nigdy określana sama w sobie, jako taka, ale zawsze w stosunku do męskości. Gdybyśmy mieli określić męskość, byłoby trudniej; na nią składają się z małymi wyjątkami, wszystkie rysy człowieczeństwa, zresztą typ to plastyczny, każda epoka stwarza odrębnego człowieka, typ charakterystyczny dla każdej epoki stanowi pewien typ mężczyzny. Tylko co do kobiet pokutuje mniemanie o ciągnącej się jak nić nieprzerwana, poprzez dzieje jednolitej kobiecości.

Co nam mówią badania o pierwotnem stadyum tej sprawy, już wiemy, zajrzyjmy do ksiąg dostępnej nam już historyi. Każda epoka ukazuje nam pewne sobie właściwe oblicze niewieście i to często jakaś era wypowiada się naraz w paru typach. W Grecyi prócz Penelopy, prządki, wiernej małżonki i zacnej pani domowego gniazda, widnieje typ drugi: kobiety hetery, uważany zapewne za równie kobiecy, jako przedstawicielki niewiast siedzących przy krosnach w odciętem od świata gyneceum, w otoczeniu podwładnych i domowników. Hetery odpowiadają dzisiejszym kobietom emancypowanym. W starożytności bujność życia łączyła się z aspiracyami, skierowanemi ku wyżynom ducha; były to więc kobiety wybitne i historya przekazała raz na zawsze pamięci późnych pokoleń imiona Aspazyi i Safony, gdy w fali czasu zatonęły owe ciche prządki. Średniowiecze, które ukazuje nam z jednej strony damy z „*cour d'amour'ów*“, przedmioty westchnień trubadurów i rycerzy, z drugiej niewiasty bogobojne, jakby z okien gotyckich świątyń wycięte, średniowiecze miało dla wyższych dusz kobiecych szerokie ujście w klasztorach. Kiedy w Grecyi przez oddanie się życiu zmysłowemu zyskiwała kobieta prawo obywatelstwa w dziedzinie dóbr duchowych, to w klasztorze wprost przeciwnie, wznosiła się ku niebu

przez zabicie w sobie istoty gatunkowej. Oba typy, każdy dla swojej współczesności *par excellence* kobiecy, a w stosunku do „kwestyi centralnej“ interesów niewieścich biegunowo przeciwstawne. Odrodzenie skłoniło się znów więcej ku typowi helleńskiemu, zaś nad wiekami 17-ym i 18-ym zaciężył pierwowzór damy z dworu Ludwików, strojnej, sprytnej, błyskotliwej. To zupełnie nowożytny, świeżo powstały objaw, a także nie odmawiamy mu kobiecości.

Doszliśmy do dni naszych. Jak każda epoka wyrasta na pokładach namulonych przez ery poprzednie, tak i nasza leży na usypisku kultur dziś minionych. Kobieta nasza nie jest wytworem nowożytnym, na obliczu jej pozostawiła ślady każda z epok, która wsiąkała w życie następnych, aż doszła do nas. Jak jednak cały gmach naszej kultury, etyki i religii wyrósł na podwalinie chrześcijaństwa, tak też i na kształcie kobiecym najgrubszy osad zostawiły wartości kulturalne, jakie zrodziło chrześcijaństwo w chwili swego zenitu w średniowieczu, tak cnoty nasze niewieście są to przeważnie cnoty matron średniowiecznych. Typ czystej dziewicy i typ kobiety-matki, oba usymbolizowane w Matce Boga, świecą jako ideały i prawzory, na których podobieństwo rzeźbi się od kilku setek lat dusze kobiece. Cechy „niewieście“ bierność, poddawanie się woli męskiej, uległość wobec wszelkich autorytetów, słodycz w pełnieniu cichych obowiązków, oto kwiaty, zdobiące skroń kobiecą, a rówieśniki róż mistycznych i strzelistych wieżyc tumów średniowiecznych. Otaczanie kobiety nimbem idealnej poezyi i stosunek do niej mężczyzny rycerski, to także zasuszone kwiecie z czasów, gdy mieszkiwała w warownych zamkach na skale i zajeżdżało się do niej po zwodzonym moście, na kapiącym od złota koniu, w zbroi chrzęszczącej i świecącej piórami przyłbicy.

Istnieje i typ drugi. Wzór francuski z epoki przedrewolucyjnej, wytworzył kryteryum szyku i zręczności światowej, pod które podpadają wszystkie kobiety, elegancyę, salonowość, z właściwą sobie atmosferą flirtu i płytkości, nalot zresztą w porównaniu poprzednim z bardziej powierzchowny, gdyż krótszego stosunkowo trwania w historyi.

Mamy jeszcze i typ trzeci: kobiety, które opanowują i pod stopy swoje rzucają panów stworzenia, „lwice“ świetne okazy gatunkowe, zupełne przeciwstawienie *Gretchen* pierwszego wymienionego typu, a jednak i im nie zarzucamy brak kobiecości, owszem ta pozorna demoniczność jest w nich odrębnością od pierwiastka męskiego.

Wszystkie te typy, jako uosabiające kobiecość współczesną, zaludniają naszą literaturę, snują się po scenie: jest to mozajka niebywale barwna, gdyż oprócz tych różnic zasadniczych istnieją jeszcze tysiące odmian, najzupełniejsze sprzeczności charakterów, usposobień, intellektów. Wobec tego mamy chyba prawo zapytać raz jeszcze, cóż ostatecznie

jest owa, tyle głośna kobiecość, czy tkwi ona w charakterze, czy w umyśle, czy w temperamencie, czy też jest cechą rzucającą się w oczy zaraz przy pierwszem spojrzeniu na kobietę?

Powiadają, że jest to rys, idący przez całą jej istotę, tak duchową jak fizyczną. Zobaczmyż. — Pod ostatnim względem przyznajemy tę cechę jednostkom, obdarzonym urodą lub pewnym wdziękiem; jest to jednak rzeczą przypadku, że taka lub inna kobieta jest w te cechy uposażona: „*le gros*“ gatunku pod tym względem specyalnego wrażenia nie wywiera. Zresztą tutaj reformą będzie nie dążenie do równouprawnienia, ale poprostu niewinny sport dla kobiet. On to wpływa na kardynalną zmianę ruchów, obejścia, nawet kształtów kobiety. Nie trzeba zresztą zastanawiać się zbyt głęboko, aby ujrzeć, że to wzięcie, czy sposób bycia kobiety jest tylko rzeczą zwyczajową, że mianem niekobiecem obdarzamy coś, co z naturą kobiety nie ma nic a nic wspólnego, a jest tylko dla nieprzyzwyczajonych frapującem, nowem. Dlatego to w różnych kulturach różne rzeczy uchodzą za zadanie gwałtu kobiecości. U mahometan nazwanoby feminizmem ukazanie się na ulicy bez zasłony na twarzy, my znów za niekobiece uważamy palenie tytoniu, gdzieindziej zakorzenione. Typ Angielki ma dla nas różne rysy zbyt męskie, niezgodne z naszem nieco miększem obejściem, z drugiej strony obyczaje Polki są swobodniejsze i muszą razić bardziej jeszcze bierną i zadomowioną Niemkę itp.

Weźmy psychę kobiecą. Czy przynajmniej tutaj istnieje zgodność w zdaniach? Gdzie tam! Jedni uważają umysł kobiecy za więcej „przyziemny“ od męskiego, odmawiając jej oryginalności i zdolności twórczych; z drugiej strony przypisują jej przewagę wyobraźni nad refleksyą. Jedni oskarżają ją o brak wytrwałości w analizie i zbytnią pochopność do uogólnień, gdy inni odmawiają zdolności do syntezy i wskazują na nią tylko, jako na pożyteczną pracownicę, do obrabiania szczegółów w dziedzinie, stworzonej przez mężczyznę. Porównajmy, co pisze się o danych umysłowych kobiet z powodu ubiegania się przez nie o prawo wyborcze. Jeden artykuł każe je przypuścić do głosu, gdyż wniosą za sobą pierwiastek idealny, ożywczy, wobec dbających tylko o interes materyalny mężczyzn, drugi, na drugiej zaraz stronie popiera sprawę kobiet, gdyż nowe uczestniczki skutkiem praktyczności wrodzonej i wyrabianej jeszcze dzięki swemu trybowi życia, nie pozwolą na zabawianie się w teorye, a postawią obrady parlamentarne na gruncie realnym. Same sprzeczności nie wiadomo czego się trzymać.

Stajemy wreszcie wobec kwestyi stosunku tej „kobiecości“ do prądu równoprawnienia kobiety. Przeciwnicy przedstawiają rzecz tak, jakoby do dzisiaj był typ kobiecy, a dzisiaj się nań targnięto. Widzieliśmy, że kobieta zmieniła fizyonomię swoją równolegle do biegu historyi, a jeżeli

niema tak jaskrawych różnic, jak w typach męskich, z różnych epok, to dlatego, że kobieta odsunięta od centrum życia duchowego nie przejmowała się nigdy tak do dna atmosferą intellektualną swojej epoki. Szczyty rusztowania duchowego jej czasów, były dla niej zawsze niedostępne. To też niestety obrazów różnych epok nie możemy wskrzeszać, badając typy odpowiednich kobiet, to jednak nie dowód istnienia stałej niezmiennej kobiecości, lecz pewnej niesprawiedliwości naszej cywilizacyi. Czy jednak to, że kobieta kulturą współczesną przejmie się rzetelnie, że zamiast chwytać z powietrza ułomki wartości umysłowych, posiądzie wiedzę gruntowną, czy to będzie rewolucyą, odbijającą się aż o najgłębsze pokłady jej istoty? Że zamiast robić z okrawków wiedzy i rezultatów czyjejś pracy myślowej, różowe karmelki do zabawy w salonie, wzmoże w sobie zrozumienie i szacunek dla prac ducha, to może ją jedynie uszlachetnić. Że zetknie się z rzeczywistością nagą w samodzielności pracy dla siebie, to jej skrzydeł nie osmoli, czyż może być większa proza i jałowość nad jej codzienną sferę życia w kuchni i przymierzalni, pracę nieprodukcyjną, która ducha nie podniesie, gdy praca na szerszem polu rzucić może nowe ziarna na nieuprawną dotąd glebę jej mądrości życiowej.

A stosunek z mężczyzną? to scena, na której przyglądać się możemy grze pierwiastków, składających się na kobiecość? Jeżeli ten stosunek jest stworzony przez przyrodę, jeżeli w procesie, mającym za cel utrwalenie gatunku, kobieta grała i wiecznie grać będzie rolę żony i matki, to nie bójmy się o zatratę uczuć, które wykwitnąć muszą na tem tle. Uczucia te, pierwiastkowo czysto zwierzęce, cywilizacya otoczyła aureolą wartości wyższych i idealnych i cywilizacya wzmagając się, nie da im już nigdy powrócić do pierwotnej fazy, a będzie je otaczała pajęczyną coraz subtelniejszych wrażeń. Tak jak rzecz dziś stoi, jednej wartości dodatniej, tj. owemu wdziękowi, o którego zatratę trwożymy się bez powodu, odpowiada wiele stron ujemnych, jak zazdrość, chytrość, wszelkie środki tolerowane w rywalizacyi między kobietami, flirt niezdrowy i nieetyczny. Zaczynamy na szczęście dostrzegać coraz wyraźniej, że stosunki podobne będąc niezmiennemi od lat wielu, wciąż bardziej rozchodzą się z kroczącą stale naprzód etyką nowożytną. I w tej kwestyi więc zmieni się niechybnie forma; treść pozostanie, bo pozostać musi. Jeżeli teraz odarliśmy z obsłonek mitu naszą kobiecość i widzimy dokładnie, że jest to odpowiadający spadkobiercom dawnych kultur ton, z jakim przystępuje kobieta do mężczyzny, to wiemy już, że ani zasuszanie sztuczne więdnących kwiatów, ani zalewanie lądów kuli ziemskiej powodzią literatury mielącej w kółko te same po stokroć już zmielone ziarna, nie zmieni ani na jotę biegu dziejów. Ale wiemy także, że dla nas ludzi bieg ten przedstawia się jako postęp, dzięki któremu wszystkie objawy bytu doskonalą

się i szlachetnieją. Przez tyle faz rozwojowych, męska połowa ludzkości miała za towarzyszkę kobietę, odpowiadającą nastrojowi czasów; więc i wyłaniający się w naszych oczach typ kobiety przyszłości kształtuje się, aby się dostroić do harmonii z przyszłym typem mężczyzny, również wyższego i doskonalszego, niż wszystkie dotychczasowe.

Dicksteinówna.

W KWESTYI SZKOLNEGO NAUCZANIA RELIGII.

(Ciąg dalszy).

2. Religia a moralność.

Oprócz wiedzy daje, lub dać ma, nauka dogmatów, moralność.

Moralna wartość dogmatyzmu, to najcięższy argument w arsenale jej rzeczników z urzędu i rzeczników z przesądu. Abstrahujmy teraz od intellektualnej strony nauczania, a zajmijmy się tylko jego stroną moralną, czyli rozpatrzmy, ażali, jak ogół u nas mniema, tylko dogmatyzm religijny dać może osobnikowi ludzkiemu moralność i czy istotnie ją daje.

Zobaczmy więc wprzód, w jaki to sposób ma religia dogmatyczna wszczepiać człowiekowi moralność. Znajdziemy, że dziać się to ma trojaką drogą:

naprzód, przy pomocy pewnego pozytywnego kodeksu moralnego, jaki każda religia człowiekowi przedkłada, aby go w życiu przestrzegał;

po wtóre, przez zbiór legend, podań, historyi o podkładzie moralnym, mających wychowywanemu osobnikowi dawać konkretne wzory takiego życia i takich cnót, jakich ów kodeks *in abstracto* uczy;

po trzecie, przez boski autorytet stojący poza kodeksem moralnym religii, udzielający mu wyższej, nadczłowieczej legitymacyi, a jego moc obowiązującą potęgujący groźbą kar pośmiertnych, względnie, obietnicą pośmiertnych nagród.

Załóżmy, nad czem później jeszcze osobno się zatrzymamy, że my, dzieci kultury duchowej XX-go wieku, posiadamy niezależne od pojęć religijnych pojęcia i ideały etyczne, że umiemy rozsądkiem i uczuciem, bez pomocy wiary, odróżniać to, co dobre i wzniosłe, od tego, co złe jest i podłe i że zupełnie niezależnie od naszych religijnych przekonań kochamy cnotę, a brzydzimy się występkiem.

Jeżeli tak jest, to o pierwszym z powyższych trzech momentów tyle tylko będziemy mogli orzec:

Albo kodeks moralny, jaki nam daje ta lub owa religia, dobry jest, zgodny z ideami etycznemi, jakie dziś wyznajemy, na jakich życie jednostki i życie społeczeństw oprzeć pragniemy i jakie zaszczepiać chcemy

w pokoleniu młodem — a wówczas musimy zapytać, dlaczego właśnie przez sito dogmatyczne podawać mamy te idee dzieciom naszym, a nie inną, bardziej bezpośrednią drogą, albo też moralny kodeks religijny nie odpowiada wymaganiom naszej etyki, a wtedy oczywiście z góry musimy go odrzucić.

Która z tych ewentualności w rzeczywistości zachodzi, tego nie potrzebujemy tu rozstrzygać. Decyzya zależałaby zresztą od tego, którą z pozytywnych religii i jak interpretowaną*) mielibyśmy na oku. Jeżeli np. weźmiemy pod uwagę oficyalny katolicyzm albo prawowierny mozaizm, to znajdziemy, że nie może nas już zadowolić choćby stanowisko obu ich wobec kobiety, wręcz przeciwne naszym ideom emancypacyjnym, tak samo nie może nas dziś zadowolić ten dekalog, który strzegąc uświęconej dogmatycznie prywatnej własności przykazaniem „nie kradnij", nie ma podobnego przykazania przeciw kradzieży pracy i potu ludzkiego, przeciw wyzyskowi ekonomicznemu.

Przyjmijmy jednak, że kodeks moralny danej religii, ewentualnie odpowiednio interpretowany i odpowiednio poprawiony, mógłby zadowolić wymagania naszego etycznego życiopoglądu. Wówczas w odpowiedzi na pytanie, dlaczego właśnie z formułek mają dzieci nasze moralność przyjmować, powołają się rzecznicy dogmatu na dwa dalsze z przytoczonych wyżej trzech momentów i te nam teraz rozpatrzyć wypada.

Aby się *exempli gratia* ograniczyć do katolicyzmu, powiemy, że pierwszy z tych momentów kładzie nacisk na te przykłady cnót i wzory szlachetnego życia, jakich nam dostarczają: Stary Testament w przeróżnych epizodach z historyi przodków narodu żydowskiego i z historyi narodu samego, Testament Nowy skarbcem moralnych przypowieści, a przedewszystkiem promiennemi postaciami Chrystusa i jego uczniów, nakoniec historya kościoła długim rzędem cnotliwych, świętych i męczenników. Postaci te i epizody utrwalają się, tak argumentuje religijna podagogia, na całe życie w plastycznym umyśle zaznajamiającego się z nimi dziecka, będąc mu ucieleśnieniem abstrakcyjnych prawd moralnych, które tych inkarnacyj pozbawione, pozostałyby dlań tylko suchem schematem, a i dla dojrzałego człowieka nie przestają być te wzory świetlanym drogowskazem na rozstajach życia i krynicą sił moralnych w chwilach pokusy.

Na to odpowiedzieć musimy, że przedewszystkiem nie wszystko to, co nam w epiczno-moralnej formie Stary i Nowy Testament i historya Kościoła podają, odpowiada naszym dzisiejszym, etycznym poglądom i potrzebom. Zwłaszcza Stary Testament obfituje w epizody o etycznie wąt-

*) Iluż przeróżnym interpretacyom podlega nawet moralna sfera religii. Porównajmy np. w obrębie chrześcijaństwa szczytnie altruistyczną etykę pierwszych chrześcijan z machiavellowską etyką historycznych Jezuitów.

pliwym charakterze, dla umysłu dziecka tem niebezpieczniejsze, o ile związane postaciami, które wiara uszanowaniem otacza*).

Lecz o to najmniejsza, przyznajemy w zasadzie racyę powyższej argumentacyi. Jednakowoż musimy zapytać: czy tylko tradycya religijna daje nam cnót godne naśladowania wzory?

Małoż przykładów najpiękniejszych cnót i najszlachetniejszych poświęceń dostarcza nam cała historya kultury ludzkiej, cała historya ludzkości?

Rzućmy tylko okiem na którykolwiek odłamek ludzkiego rodu, na którąkolwiek epokę w historyi tego odłamka, na którąkolwiek dziedzinę życia ludzkiego w tej epoce: czy nie będziemy mogli pełną garścią czerpać stamtąd klejnotów wzniosłej myśli etycznej i etycznej woli, tam nawet, gdzie te klejnoty pogrążone są w odmętach powszechnego barbarzyństwa lub zepsucia?

Czy potrzeba się uciekać do zamierzchłych legend z przed tysiąca lat, albo do martyrologii religijnej, tak często fanatyzmem lub religijnym obłędem zaprawionej, aby rozniecić w dziecku miłość dla idei etycznych i dać mu ich wcieleń skarbnicę na drogę życia?

Wszakże ludzkość poszczycić się może tysiącami jednostek, które z zaparciem się służyły jej dobru na najrozmaitszych polach, poszczycić się może również długim rzędem męczenników, którzy w imię jej ideałów zginęli w walce z mocami ciemnoty i barbarzyństwa i nie przestaną nigdy pokoleniom wszech narodów i wszech wyznań, gorzeć płomieniem buntu przeciw wszystkiemu, co złe i podłe.

Że nasza szkoła ze skarbów tych nie korzysta lub korzysta w śmiesznie ograniczonej mierze, że nasza nauka historyi powszechnej ogranicza się niemal wyłącznie do wlewania w pamięć ucznia pni genealogicznych i dat bitew stoczonych, a etyczną stronę czynów i zjawisk dziejowych zupełnie lekceważy, że nasza lektura klasyków starożytnych zadowala się gramatyczno-lingwistycznymi komentarzami, lektura nowożytnych estetycznemi dygresyami, a obie pomijają zawartość etyczną czytanych utworów i etyczną stronę życia mistrzów słowa i wieszczów danego narodu, że nasze nauczanie przedmiotów przyrodniczych ogranicza się do suchego opisywania objektów przyrody i szablonowego jej praw podawania, a zarówno unika bezpośredniej z nią styczności, któraby i etycznej stronie wychowania dać mogła wiele punktów zaczepienia, jak i pomija rozwój nauk przyrodniczych, a jego historyi ową głębię etyczną bolesnego porodu każdej nowej nauki, każdej nowej prawdy, czy dlatego mamy sądzić, że

---

*) Dość wspomnieć naprowadzaną nieraz historyę o misie soczewicy Jakóba, której napróżno usiłują niektórzy znośny etycznie wygląd nadać, zabicie Uryasza, mściwość proroków: dzieci zjedzone przez niedźwiedzi, „pożyczenie“ naczyń od Egipcyan itp.

tylko dogmatyzm dać może dziecku konkretne wzory życia i działania, albo, że jej wzory mają wyższość nad zaczerpniętymi z innych dziedzin życia i kultury?

Przeciwnie! Zważmy bowiem, że wzory, podawane nam przez księgi wiary i historyę kościoła, w znacznej części dotyczą specyalnie sfery cnót religijnych (pod któremi rozumiemy bojaźń bożą, ukochanie wiary itp.), a o tyle też są dla naszej etyki dzisiejszej, anachronizmami o małej, nieraz żadnej objektywnej wartości etycznej. Tak np. wzory ascezy religijnej, przykłady ucieczki z żywego życia w samotną kontemplacyę, nie mogą mieć dla nas prawie żadnego etyczno-wychowawczego znaczenia. Już stoik starogrecki, głoszący panowanie rozumu nad żądzami i równowagę umysłu w szczęściu i cierpieniu, przemówi do nas i do dzieci naszych wymowniej, zrozumialej, niż średniowieczny asceta, którego obłęd mistyczny popchnął do szalonych umartwień przeklętego przezeń ciała. Bez wątpienia i my uchylimy czoła przed gorejącymi jasnością nadziemską męczennikami wiary, jakich zresztą każda religia posiada; atoli z niemniejszą czcią padniemy na kolana przed męczennikami świeckiej myśli, przed bohaterami postępu.

Dla nas, dzieci nowoczesnej kultury, którzy żarliwej wiary odległych od nas o wieki i tysiąclecia pokoleń w jej mistycznych wykwitach częstokroć pojąć już nie możemy, dla nas, którzy stoimy w pośrodku wieków rewolucyjnych we wszelkich dziedzinach życia ludzkiego, dla nas i dla dzieci naszych poświęcenie za postęp i ludzkość, za którąkolwiek z wstrząsających starym światem wielkich świeckich idei, ma najwyższą siłę podbijającą dusze i porywającą je ku dobru, ku sprawiedliwości.

Lecz mógłby ktoś powiedzieć, że właśnie cnoty religijne, więc te jakich wzory tylko wiara dać nam może, są niezbędną składową, albo wprost fundamentem moralności.

I oto stoimy u trzeciego z argumentów, mających przemawiać za decydującym głosem religii w rzeczach etyki. Argument ten, wskazując z jednej strony na majestat boży, jako jedyną trwałą podporę wszelkiej moralności, a z drugiej strony na życie pośmiertne, jego nagrody i kary, jako jedyną rękojmię posłuszeństwa człowieka wobec zasad moralności, stwierdza konieczność związku między religijną a moralną sferą duchowości ludzkiej i wyraża tę konieczność w zdaniu:

„Człowiek niereligijny nie może być moralny: natomiast religijny człowiek („prawdziwie religijny", zwykło się z ostrożności zaznaczać) będzie tem samem i moralnym".

Zdanie to jest wierutnym fałszem.

Zadaje mu kłam historya, zadaje kłam psychologia, zbija je i najpospolitsze doświadczenie.

Historya zna cały szereg ludzi, którzy mimo indyferentyzmu religijnego lub wprost przeciwnego dogmatycznej wiary stanowiska, stali na szczytach etyki ludzkiej. Naodwrót zdziera historya z wielu, wielu bogobojnych jednostek zewnętrzną szatę religijności, aby pod nią ukazać ohydę moralną ich praktycznego życia.

Przykłady powyższe dowodzą, jak rozbieżnemi drogami iść mogą u tej samej jednostki rozwój religijności i rozwój moralności. Ale i subtelna psychologiczna analiza wykazałaby nam jasno, że uczucia i sądy etyczne zgoła nie muszą pozostawać w zależności od uczuć i pojęć religijnych i że związek, jaki między obiema temi sferami duchowości tak często u ludzi spotykamy, jest tylko sztucznym rezultatem religijnego wychowania, bynajmniej zaś nie psychologiczną koniecznością. Lecz abstrahując od takiego rozbioru możemy się zadowolić prostym, a niezawodnym argumentem *ad hominem:* my wszyscy, którzy pragniemy gorąco etycznego postępu naszej jaźni i jaźni naszego bliźniego, my, którzy kochamy prawdę, a nienawidzimy obłudy, którzy w służbie dla naszych idei gotowiśmy wyrzec się części własnego ja, czy my tak myślimy, czujemy, pragniemy, działamy dlatego, że nam to religia nakazuje? żeśmy posłusznemi dziećmi Ojca w niebiesiech? że się piekieł boimy? że nieba pragniemy dostąpić?

Ba — powie jednak wielu, bardzo to ładnie, że nasza moralność bez dogmatów się obchodzi, ale czy może bez niej się obejść moralność owych mas ludu, które w razie utraty bojaźni bożej i wiary w nieśmiertelność duszy uległy niechybnie w krótkim czasie moralnemu zwyrodnieniu?

Czy takby się stać musiało, o to snadnie możnaby się spierać. Lecz przypuśćmy, że racyę miałoby powyższe zapatrywanie, wówczas zapytać musimy:

Czy więc to, co dziś moralnością ludu nazywamy, jest istotnie moralnością?

Czy moralność, oparta na bojaźni przed potężnym sędzią wszech uczynków ludzkich, moralność, wymuszona groźbą wiecznego potępienia lub wyłudzoną obiecanką niebiańskich rozkoszy, czy ta moralność godną jest imienia moralności?

Przenigdy. To nie moralność, jeno lichy jej surogat. Taka moralność tę samą ma wartość, co sprawiedliwość na bagnetach oparta, co pokój przez działa strzeżony.

Taka moralność jest zaprzeczeniem prawdziwej moralności.

Już Spinoza wskazywał na to, że o ile religia wprowadza w sferę etyki, by jej postulatom posłuszeństwo człowieka zapewnić, grozę boskiej potęgi, widmo wiecznego potępienia lub nadzieję wieczystego zbawienia, o tyle deprawuje w zarodku moralne skłonności człowieka, o tyle nie

pozwala mu się rozwinąć w samodzielnie, a bezinteresownie moralną jednostkę, o tyle więc nie umoralnia, lecz demoralizuje.

Moralność polega, jak wiemy, na pewnej kategoryi uczuć zwanych moralnemi, które wyładowują się w jednostce przy percepcyi lub assocyacyi pewnych (nie wszystkich) czynów ludzkich, pojętych jako aktów uświadomionej woli indywidualnej, uczucia te, z wierzeniami religijnemi nic wspólnego nie mające, nabyte przez gatunek ludzki drogą ewolucyi, wrodzone już są w pewnym zarodkowym stanie jednostce kulturnej, a rozwinąć je, wykształcić uszlachetnić i utrwalić w człowieku, to właśnie zadanie wychowania. Jest to jednak tylko jedna strona moralności, strona uczuciowa. Aby być człowiekowi czemś więcej, jak kompleksem obojętnych rozumowo, a więc dla rozumnej woli prawomocności nie posiadających uczuć, musi moralność koniecznie szukać w rozumie oparcia i tylko w rozumie.

Jeżeli tedy moralność prawdziwie wróść ma w duszę jednostki, a nie pływać tylko po jej wierzchu, wówczas nie może być echem poza lub ponad człowiekiem stojących mocy, ani też oddźwiękiem grozy sądu ostatecznego, lecz psychologicznie zawierać się musi w swoistych uczuciach człowieka, a logicznie wywodzić się z jego rozumnego myślenia.

Jest jeszcze jedno niebezpieczeństwo, zagrażające prawdziwej moralności ze strony szkolnego nauczania moralności opartej na formułkach poszczególnych dogmatów religijnych.

Niebezpieczeństwem tem – nietolerancya i fanatyzm, jakich rozsadnikiem tak często bywa nauka religii.

Jak smutne następstwa płodzi w tym kierunku klerykalizm u nas, zwłaszcza w szkole i poza szkołą, jaką truciznę moralną wlewa w niewinne serca młodziutkich istot, o tem nadto dobrze wiemy, choć przez palce na to zwykliśmy patrzyć!

A pamiętajmy, że najliberalniejszy system nauczania religii tej szkody zupełnie usunąć nie zdoła. Bo jak długo będą się dzieci uczyły pewnej dogmatyki, tak długo dla dzieci jednego wyznania będą rówieśnicy innych wyznań innowiercami, pozbawionymi światła „prawdziwej“ wiary; (któraż wiara nie windykuje dla siebie miana prawdziwej?) tak długo też świadomość różnic religijnych i płynąca stąd wzajemna nieufność przeszkadzać będą wśród rzeszy młodej, rozwojowi uczuć prawdziwego, wszystkich bez różnicy jednaką miłością obejmującego braterstwa.

Wbrew powszechnemu u nas mniemaniu, jakoby dogmatyzm religijny był nieodzownym warunkiem i najlepszą ostoją moralności, znaleźliśmy tedy:

że prawdziwa moralność nie tylko zgoła od dogmatyzmu nie jest

zależną, lecz owszem obejść się bez niego musi, jeżeli ma być trwałą i prawdziwą;

i że ta pedagogia moralna, która prawdziwie etycznie chce kształtować umysły, nie zaś moralny ich rozwój z góry na wypaczenie narażać, wyemancypować się musi z pod opieki dogmatyzmu, a oprzeć się musi wyłącznie na naturalnych uczuciach człowieka i jego rozsądnem myśleniu.

Oto dyrektywa dla moralno-wychowawczych zadań nowoczesnej szkoły. *Dr Aleksander Axer.*

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z BAGNA PROSTYTUCYI.

(Notatki z niedawnego procesu*).

Epilog smutnej i wstrząsającej tragedyi ludzkiej, rozegrał się niedawno w Wiedniu. Odkryte zostały wszystkie rany tego jątrzącego się wiecznie wrzodu na ciele społeczeństwa, jakim jest prostytucya. Wydobyto na wierzch cały brud, wszystkie wstręty towarzyszące płatnej miłości i domom rozpusty, a co najważniejsza proces, o którym mowa (czytelnicy gazet wiedzą, że mam na myśli proces Riehlowej i towarzyszy), stanowi niezbity dowód niedorzeczności systemu reglementacyjnego i bezsilności policyi w tych wypadkach.

Wglądnijmy, aby uprzytomnić sobie całą sprawę, w akt oskarżenia. Riehlowa zajmowała się już przeszło od 20 lat stręczycielstwem. „Interes“ jej był ogromnych rozmiarów, zatrudniała bowiem nieraz do dwudziestu dziewcząt, a najlepszym dowodem zysków, jakie ciągnęła z przedsiębiorstwa, był płacony przez nią czynsz roczny w kwocie 10.000 K. W domu, który wynajmowała, „salony“ przeznaczone do przyjęcia gości urządzone były z nadzwyczajnym komfortem, zaś w przeciwieństwie do tego sypialnie dziewcząt urągały wprost wszelkim przepisom sanitarnym, gdyż spały one po ośm w jednym pokoju, a po dwie w łóżku. Ściąganiem dziewcząt do Riehlowej zajęta była spora liczba osób, przeważnie starszych kobiet i młodych chłopców, którzy ofiary swoje wybierali z pomiędzy służących bez zajęcia i pod pozorem wyszukania im „dobrego miejsca“, sprowadzali je do domu Riehlowej, noszącego dla przynęty obiecujący napis: „Salon krawiecki p. Riehl“. Tu przyjęcie dziewcząt było rozmaite, stosownie do stopnia ich zepsucia. Jedne przyjmowała jako służące, licząc na demoralizujący ich wpływ otoczenia, innym nie ukrywała zupełnie

*) Zamieszczamy szczegółowe sprawozdanie z tego procesu, pomimo, że znany on jest czytelnikom z dzienników, ponieważ uważamy, że w piśmie bojowem o wolność kobiety powinno ono zostać jako historyczny dokument niewolnictwa (dosłownego) kobiety na początku XX stulecia.

ich przyszłego zatrudnienia. Biura wywiadowcze dla sług przysyłały jej również klientki, ba nawet szpitale, bo jedna pacyentka polecała drugiej „salon“ Riehlowej. Dla małoletnich dziewcząt uzyskiwała Riehlowa nadzór policyjny zapomocą sfałszowanych dokumentów i podań w policyi, a rodzice porwanych dziewcząt w przeważnej części wypadków dowiadywali się już za późno o losie swego dziecka, aby mu módz skutecznie zapobiedz. Gdy zdarzało się czasem, że krewni dziewczyny zgłaszali się, Riehlowa ukrywała ją lub przebierała za służącą. Życie nieszczęsnych tych ofiar wyzysku i pohańbienia było gorszem niż w więzieniach. Wczesnym rankiem wprowadzano je do sypialni zwanych „kasarniami“, których drzwi i okna zamykały się za nimi szczelnie na sztaby żelazne. W południe dopiero otwierały się drzwi „kasarni“ i dziewczęta wyprowadzano na obiad, po którym znów zamykano je w sypialniach, aż do wieczora. Wychodzić dziewczęta nie mogły wcale, jedynie tylko te, które zaskarbiły sobie szczególne zaufanie swej pani, mogły się przechadzać w ogrodzie, lecz i wtedy pod strażą. Odźwierni domu mieli surowy nakaz nie wypuszczania żadnej z dziewcząt na ulicę, tak, iż ucieczka była prawie niemożliwą.

W takich warunkach, zrozumiałem było łatwo, że „pensyonarki“ Riehlowej tęskniły za wolnością, lecz były tak bezsilnemi i onieśmielonemi ciągłem katowaniem, że zaledwie dwie znalazły dość energii, by zamiar swój do skutku doprowadzić. Gdy która z nich prosiła o uwolnienie, Riehlowa rzucała się na nią z furyą, biła i kaleczyła, groziła policyą, szupasem, domem pracy. Nic dziwnego, że groźby podobne nastraszały dziewczyny, wiedziały one przecież, w jak dobrej komitywie z policyą pozostawała Riehlowa. W posługaczce Pollakowej i Königu, ojcu jednej z dziewcząt, miała Riehlowa pełnych zrozumienia zaufanych pomocników. Pollakowa strzegła domu oraz spacerów dziewcząt, kierowała pościgiem uciekających, oraz przyjmowała wizyty. Podczas trwania śledztwa dziewczęta były pouczane, jak mają w sądzie zeznawać, a za to przyrzeczono im klejnoty, suknie i pieniądze. Tak przekupione dziewczęta uległy najprzód pokusie, potem odwołały zeznania swe jako fałszywe i niezgodne z prawdą.

Riehlowa zeznała, że chcąc dopomódz mężowi, urzędnikowi dobrze płatnemu i dowieść mu, jaką jest dobrą gospodynią, — miała najpierw tajny dom publiczny, tj. miejsce schadzek dla „puszczających“ się mężatek. Po otrzymaniu pozwolenia policyjnego, wynajęła dom na Liechtensteinstrasse, za który płaciła 5.000 K. Z początku bywały u niej tylko „damy“ z najlepszego towarzystwa, baronowe, hrabiny i artystki, tak, iż prezydent sądu robi ironiczną uwagę, że w ostatnim czasie zdegradowany został jej zakład. Na uwagę przewodniczącego, że według sanitarno-policyjnych przepisów, które przyjęła do wiadomości, nie powinna była

Riehlowa przyjmować więcej jak dwadzieścia dziewcząt i to same pełnoletnie, tłómaczy się oskarżona, że nigdy dwudziestu nie miała, a małoletnie musiała przyjmować do utrzymania porządku w tak dużym domu. Później założyła Riehlowa jeszcze dwa domy publiczne, których urządzenie kosztowało ją około 40.000 koron. W ostatnim z nich, na Grüne Thorgasse, było piętnaście dziewcząt, które spały po dwie w jednym łóżku. „Kasarnia“ ta znajdowała się na trzeciem piętrze i składała się z trzech pokoi, do którego prowadził przedpokój, zamykający się zewnątrz. Co się tyczy warunków, pod jakimi dziewczęta wstępywały do Riehlowej, to płaciły jej one cztery korony za wikt, prócz tego za lekarza, zaś dochody swe musiały z Riehlową dzielić. Jak to „dzielenie“ w rzeczywistości wyglądało, zobaczymy nieco później. Jak wielkim był majątek Riehlowej, wynika z tego, że sama na fasyi podatkowej podała jako swój roczny dochód osobisty 35.000 koron. Co do ubrania, zabierała Riehlowa swym pensyonarkom wszystko, prócz koszuli, lakierków, fartuszka, tak, iż na ulicę wyjść dla nich było niemożliwe.

W zakładzie Riehlowej wisiała formalna taryfa i to według stanowiska jej klientów, odwiedzających. I tak, t. zw. „Włosi“ płacili guldena, lekarze z powszechnego szpitala i z innych wiedeńskich lecznic trzy guldeny, „panowie“ z urzędu podatkowego guldena, a „stali goście“ aż dziesięć koron. Prócz tego dostawały dziewczęta t. zw. „pończoszkowe“, które im jednak Riehlowa również odbierała. Riehlowa zabierała też niektóre z dziewcząt do lokali publicznych, ale udaremniała ich ucieczkę w ten sposób, że dawała im do noszenia torebkę pieniężną lub obwieszała je klejnotami, więc gdyby która ośmieliła się była uciec, zaskarżyłaby ją była Riehlowa o kradzież. Riehlowa prowadziła też ścisłą kontrolę nad znajomościami i korespondencyą swych pensyonarek. I tak gdy przychodzono je odwiedzać, ukrywała je, a listy przychodzące i wysyłane przyjmowała i otwierała. Zeznania zatrudnionych u Riehlowej dziewcząt potwierdzają tylko fakty, zawarte w akcie oskarżenia. Wszystkie były zamykane i bite za najmniejszy opór wymaganiom niektórych zwyrodniałych „panów“. Zarobek cały odbierała im Riehlowa, a na końcu wypędzała je niemal nago. Zarobek niektórych dziewcząt wynosił 4 – 6.000 kor. w ciągu pół roku! Jeden z najgłówniejszych świadków Marya Pokorny zeznaje, że pomiędzy klientami domu Riehlowej, był agent policyi Piss i pewien komisarz. Piss uchodził za zaufanego Riehlowej i tolerował naturalnie wszystkie jej nadużycia, jak niemeldowanie lub fałszywe meldowanie dziewcząt, zatajanie ich nieposzlakowanego przedtem życia itp. Wychodzą tu na jaw niektóre jaskrawe szczegóły. I tak pewnego dnia przyprowadzono do Riehlowej młode siedmnastoletnie i nietknięte dziewczę pod pozorem przyjęcia jej na służbę. Na dziewczęciu tem, aby mu policya

wydała książkę prostytucyjną, dokonano operacyi zapomocą narzędzia lekarskiego, mającej ją uczynić zdolną do wykonywania swego zawodu, a operacyi tej podjęły się: Riehlowa z Pollakową, przy pomocy jednej z dziewcząt, która zatykała jej usta poduszką, aby nie krzyczała! Przed tak strasznem obchodzeniem się Riehlowej, próbowały trzy z pensyonarek ratować się ucieczką i w tym celu przekupiły stróża kamienicy, ale nie na wiele im się to zdało, gdyż będąc bez przytułku, schroniły się do Pollakowej posługaczki, a ta je napowrót oddała w ręce Riehlowej, która im pluła w twarz, lżyła je i biła, odebrała im wszystkie suknie, a nakoniec dała każdej po guldenie, oświadczając, że mogą sobie iść do dyabła. Innym udawało się wydostać z rąk Riehlowej, gdy z okazyi rewizyi policyjnej wyszło na jaw, że nie mają książki. Świadek Marya R. podaje, że w jednej malutkiej izdebce spało ośm dziewcząt, tak, iż na każdą z nich wypadało 8 metrów sześciennych powietrza (podczas gdy w więzieniach austryackich wypada na jednego więźnia 18—20 metrów sześciennych). Gdy nieszczęsne te ofiary wyzysku i ciemnoty skarżyły się niekiedy w policyi lub przed swoimi „klientami“ nie dawano im wiary po prostu. Inna znów była pięć dni w szpitalu, ale po wyzdrowieniu nie mogła ujść Riehlowej, gdyż ta wezwała telefonicznie lekarza i dozorczynię, aby dziewczyny nikomu innemu jak jej nie wydawano i posłała też po nią Pollakową z dorożką. Gdy gwałtem zabrana chciała powtórnie uciec, Riehlowa odebrała jej wszystkie suknie tak, iż tylko w spodnicy i bluzce zdołała udać się do komisaryatu 9-tej dzielnicy, gdzie opisała całe zajście. Urzędnik któremu ją przydzielono pocieszał ją, radząc, aby sobie nic z tego nie robiła i wystawił jej książkę służbową. Jeszcze inna, była kwieciarką, zarabiającą do pięciu guldenów dziennie. Riehlowa kilkakrotnie drapała ją do krwi tak, iż musiała parę dni leżeć w łóżku. Podczas jednej z takich kłótni Riehlowa wyrzuciła dziewczynę, która zbita i zdrapana, udała się na policyę, gdzie zrobiła doniesienie. Po dwóch dniach wróciła do Riehlowej po swą bieliznę. Nietylko, że jej nie otrzymała, lecz Riehlowa wraz z kilkoma dziewczętami opadły ją kijami, a gdy się już wydostała na ulicę oblały ją wodą. Bielizna jej przedstawiała wartość 100 koron. Jeszcze inna, ładna dziewiętnastoletnia dziewczyna, zaraziła się u Riehlowej wszystkiemi zakaźnemi chorobami i jest ciężko, nieuleczalnie chorą na całe życie, a towarzyszki jej niedoli mimo chorób zakaźnych, musiały pełnić służbę, a chorobę ich zatajono przed lekarzem policyjnym.

Podobnie jak dziewcząt, brzmią też zeznania stróżów w domu Riehlowej, wszyscy zgadzają się w tem, że brama domu była zawsze zamknięta, a nawet podczas niedzielnych przechadzek w ogrodzie, zamykano drzwi od podwórza, zupełnie jak w więzieniu. Byli też świadkami katowań dziewcząt w razie usiłowanej ucieczki. Pomimo ogromnych dochodów, jakie

dziewczęta przynosiły Riehlowej, nietylko, że nie widziały one ani centa, lecz wyliczała im na końcu, że one jej są winne po 800—1.000 koron.

Świadek Emilia N., 18-letnia dziewczyna, obecnie zarobnica, zawdzięcza „Lidze ku zwalczaniu handlu dziewczętami“ nawrócenie się na uczciwą drogę. U Riehlowej była tylko 14 dni, gdy przyprowadzono ją do niej po raz pierwszy, miała dopiero 16 lat i była nietkniętą. Riehlowa nie chciała jej więc przyjąć, mówiąc, że musi sobie naprzód wyszukać kochanka. Gdy przyszła po raz drugi została przyjętą. Inna „pensyonarka“ podaje, że była świeżą i młodą dziewczyną, gdy dostała się do Riehlowej, a obecnie jest zupełnie zniszczoną na zdrowiu. Zwabiono ją pod pozorem „dobrej służby“ i dla nauczenia się niemieckiego, była ona bowiem Czeszką.

Elżbieta Str., obecnie kasyerka, sprzedaną została Riehlowej przez własną matkę za 5 złr. Potwierdza ona zeznania swych poprzedniczek co do ukrywania dziewcząt przed kontrolą lekarską oraz upijania ich. Sama była nieraz tak upita, że kładła się spać, ale po godzinie wywlekano ją do salonu, ponieważ byli goście. Szampana, który pozostał, zlewano razem i podawano znów gościom. Świadek musiał się dać bić rózgą aż do krwi przez pewnego „pana“, a razu pewnego rzuciła się na nią Riehlowa z nożem. Agent Piss przychodził, jak opowiada świadek, raz lub dwa razy w tygodniu w celu rzekomej rewizyi, za którą sobie kazał Riehlowej płacić, w istocie zaś pił z nią wino i zabawiał się. Gdy inna dziewczyna, imieniem Eliza R., chciała odejść od Riehlowej, ta targała ją za włosy i rzucała nią o drzwi. Między „pensyonarkami“ Riehlowej znajdowała się też pewna żydówka, której ojciec nie chciał pozwolić na wstąpienie do Riehlowej. Gdy przyszła po nią policya, by ją zabrać, Riehlowa ukryła ją w szafie, później odesłała ją i dała jej 10 koron. Julianna H. przyprowadzona do Riehlowej przez niejakiego Michała, rzekomo jako służąca, była trzymana cztery dni w zamkniętym pokoju, a matka jej dowiedziała się dopiero później o miejscu jej pobytu. Dozorca sanitarny Karol Weber, który mieszkał przez rok naprzeciw domu Riehlowej, raz zauważył jak Riehlowa ciągnęła pewną dziewczynę za włosy. Na przedstawienia jego dawała mu Riehlowa cyniczne odpowiedzi. Gdy skandale stawały się coraz częstszemi, udał się Weber do komisarza dzielnicy, który mu jednak dał lakoniczną odpowiedź, że „policya nie może się zajmować takiemi drobnostkami i że on niema na to rady“. Weber odniósł wrażenie, że nie postępowanie dziewcząt, lecz obchodzenie się z niemi Riehlowej, wywoływało owe skandale.

Jedna z powołanych na świadka dziewcząt, podała do protokółu, że sama podrapała się paznokciami, aby się prędzej dostać do szpitala i uciec od Riehlowej. W innym protokóle podaje jedna z mieszkanek „Instytutu

Riehlowej“, że opiekun jej, burmistrz (!) jednego z większych miast Dolnej Austryi dał jej bardzo prędko pozwolenie na pobyt w tym domu.

Z zeznań świadka Ernesta Pollaka, skutkiem doniesień którego, dziennikarz Bader zaczął obserwować dom Riehlowej, dowiadujemy się, że ów Pollak, będąc raz gościem w tym domu, dowiedział się od jednej z dziewcząt, niejakiej König, że zatrzymywano ją tam gwałtem. Postanowił ją uwolnić, spisał więc w tym celu to, co słyszał i zaniósł Baderowi, redaktorowi „Extrablattu“, prosząc go, o interwencyę prywatną, ponieważ nie chciał, by nazwisko jego było wmieszane w tą sprawę. Udało się im też z pomocą policyi uwolnić dziewczynę, dali jej też nieco pieniędzy na pierwszy czas. Przesłuchany następnie redaktor Emil Bader, zeznaje to samo co Pollak. Udał się on z nim razem do „Ligi ku zwalczaniu handlu dziewczętami“ i do stowarzyszenia „Ojczyzna“, gdzie im powiedziano, że podobne skargi i użalania się na Riehlową już często ich dochodziły. Pollak opowiedział też Baderowi historyę „Liesel“ (takie było przezwisko Maryi König u Riehlowej). Przyprowadziła ją do niej niejaka Hoffmanowa, a ponieważ była jeszcze nietkniętą, więc przygotowano ją do przyszłego zawodu w ten sposób, że wezwano jakiegoś pana z ulicy. Hoffmanowa tymczasem czekała na nią, poczem zaprowadziła ją do Riehlowej. Gdy pomimo przyrzeczeń nic dla „Liesel“ nie uczyniono, udał się Bader osobiście do Riehlowej, a spostrzeżenia tam uczynione posłużyły mu do pierwszego artykułu w „Extrablacie“ 24 czerwca 1906 r. Z okazyi tej wizyty dowiedział się Bader od „Liesel“, że w ciągu czterech lat pobytu u Riehlowej nie otrzymała ani centa, lecz wszystko ojciec, który groził jej na wypadek ucieczki oddaniem do domu pracy oraz zmuszał ją biciem do klękania przed Riehlową i błagania ją o przebaczenie. Goście, którym się zwierzała ze swej niedoli, oświadczali jej, że nie mogą nic dla niej uczynić, bo ich społeczne stanowisko im na to nie pozwala, inni znów byli żonatymi i bali się kompromitacyi. Co do rewizyi lekarskich, to odbywały się niedostatecznie i w czasie gdy Riehlowa z Pollakową znajdowały się w pokoju tuż obok. Pokazała też „Liesel“ Baderowi ślady bicia na całem ciele, a zapytana o ich przyczynę wyjaśniła mu, że pochodzą od specyalnych „gości bijących“, dla których były do dyspozycyi rózgi i harapy dla psów (!), w razie gdy któraś nie okazała się powolną ich żądaniom. Za prawo bicia płacili oni po 50 do 100 koron. Gdy wreszcie skutkiem domagań się Badera posłano agenta policyjnego do Riehlowej, ta ukryła „Liesel“ najprzód w komórce na pierwszem piętrze, potem w miejscu ustępowem, a wreszcie w jej prywatnem mieszkaniu. Widząc, że ta gra w chowanego na nic się nie zda, ubrała Riehlowa dziewczynę w strój uliczny, nakazując jej powiedzieć agentowi, że właśnie wraca z kawiarni i groziła jej domem poprawy

w razie niekorzystnych zeznań. Wtedy dopiero wydała ją agentowi. Gdy później Bader udał się z „Liesel“ i agentem Pissem do Riehlowej, żądając zwrotu garderoby i pieniędzy, Riehlowa dała „Liesel“ za czteroletnią pańszczyznę 80 koron. Od tego czasu „Liga ku zwalczaniu handlu dziewczętami“ zajęła się nią, dała jej uczciwy zarobek i wszędzie wystawiają jej jak najlepsze świadectwo.

Ale opinia publiczna zanadto była artykułami „Extrablattu“ wzburzoną, ażeby można było sprawę pogrzebać. Wkroczyła więc prokuratorya, dom Riehlowej zamknięto i rozpoczęło się śledztwo sądowe, podczas którego Riehlowa zmusiła niektóre dziewczęta do zeznań na jej korzyść, dlatego obok niej i Pollakowej znalazły się one na ławie oskarżonych.

(Dok. n.) *Klementyna Gottliebowa.*

Kronika społeczna.

Polowanie na ludzi w Krakowie. Historya opowiada nam, że spartańska młodzież dla rozrywki urządzała sobie od czasu do czasu obławy i rzezie niewolników. Wiemy również, że nie tak dawno jeszcze w Ameryce urządzano na zbiegłych murzynów obławy z tresowanymi w odpowiedni sposób psami. Otóż dziś odbywa się coś w tym rodzaju na ulicach Krakowa. Przed kilkunastu dniami doniosły dzienniki o niesłychanie brutalnej obławie policyi na prostytutki niereglamentowane i nie poddające się rewizyi. Podobne obławy to rzecz w Krakowie dość zwykła, a może gorliwość polujących dojdzie do tego stopnia, że wkrótce bohaterką będzie wogóle kobieta, chodząca wieczorem po ulicach Krakowa! Z opisów dziennikarskich widać, że nic nie potrafi ochronić kobiet od brutalnej zaczepki podobnej obławy, ani wiek, ani zachowanie się, ani opieka mężczyzny. Opisano fakty, że zatrzymywano najspokojniej się zachowujące kobiety, dopytywano się dokąd idą, a nawet prowadzono „pod telegraf“. Opisano fakt, że jeden agent pogonił za 60-letnią staruszką i dopiero widok siwych włosów ostudził jego zapał; chciano zatrzymać kobietę, idącą pod rękę z podoficerem i dopiero stanowcza postawa obojga odstraszyła nowożytnych myśliwych. I to się działo na ulicy Szewskiej i przyległych, wobec licznej publiczności w starożytnym Krakowie w XX wieku! Nie, doprawdy, to kiedyś historyk ogłosi światu i tem przynajmniej zapiszemy się na długo w dziejach kultury!

Rozpatrzmy, możliwie spokojnie, powyżej opisane fakty. Czy podobne środki, jako policyjne obławy mogą wykorzenić tajną prostytucyę, czy wogóle policya jest powołanym organem do zwalczania tak poważnego zła, jakiem jest prostytucya wogóle? Codzienne fakty, wreszcie ostatni proces Riehlowej w Wiedniu dostatecznie chyba wyświetliły nam rolę policyi w podobnych zapadnieniach społecznych. Myśmy już przestali się oryentować w tem, po co właściwie istnieje policya, ale mówią ludzie naiwni, że dla przestrzegania porządku i bezpieczeństwa obywateli. Cóż w takim razie powiedzieć trzeba o zaczepkach i grubijańskich napaściach, jakim przy podobnych obławach uledz mogą i ulegają osoby, nie mające nic wspólnego z prostytucyą, gdy jakiś żołnierz policyjny lub agent „omylił się“? Czy podobne obławy sprzyjają porządkowi i bezpieczeństwu obywateli?

Z natury rzeczy napaściom i zaczepkom podlegają przeważnie robotnice, służące itp., w imię więc zasad demokratycznych z całą stanowczością potępić należy podobne obławy. Dlatego, że ktoś zamiast kapelusza nosi na głowie chustkę, jest narażony na brudne podejrzenia i zaczepki w państwie, które się zbliża do równouprawnienia obywateli! Policya chce w ten sposób zwalczać prostytucyę niereglamentowaną. Dobrze, ale czy nie wiadomo jest już dziś powszechnie, że reglamentacya nie czyni prostytucyi pod żadnym względem bezpieczniejszą? Powagi lekarskie orzekły dawno, że nadzór policyjno-sanitarny bynajmniej nie zwalcza chorób wenerycznych, ba nawet może je rozpowszechniać! Widzimy więc, że nic nie potrafi usprawiedliwić barbarzyńskich obław na ludzi, jakie miewają miejsce w Krakowie.

Jubileusz Elizy Orzeszkowej. Krakowski Komitet jubileuszu Elizy Orzeszkowej wydał odezwę, w której wzywa całe społeczeństwo polskie do wzięcia udziału w uroczystym obchodzie ku uczczeniu zasług jubilatki. Komitet rozesłał do wszystkich stowarzyszeń, instytucyi i wielu osób prywatnych artystyczne arkusza adresowe, na których podpisywać się będą wszyscy, którzy hołd jubilatce wyrazić pragną. Za podpis każdego nazwiska składa się 20 h. na fundusz, przeznaczony na założenie pierwszego polskiego seminaryum nauczycielskiego imienia Elizy Orzeszkowej w Warszawie.

Jednocześnie krząta się Komitet koło wydania popularnej broszury o Orzeszkowej, którąby w tysiącach egzemplarzy można było rozrzucić po kraju oraz zainicyował szereg odczytów popularnych w Krakowie i na prowincyi. Sam zaś uroczysty obchód jubileuszowy odbędzie się dopiero w styczniu r. p. Obchód będzie polegał na przedstawieniu w teatrze miejskim, na wieczorkach i wysłaniu delegacyi z darami i adresami do Grodna, gdzie stale przebywa jubilatka. Podpisy na powyższych adresowych arkuszach składać można w redakcyi pism, w biurze Komitetu (Szpitalna 7, II p.), w księgarniach, w czytelni Uniwersytetu Ludowego im. A. Mickiewicza itd.

Dodać należy, że Uniwersytet Ludowy w grudniu urządzi cykl wykładów o działalności Orzeszkowej.

Towarzystwo Naukowe w Warszawie. „Tygodnik illustrowany“ w jednym z ostatnich numerów podniósł myśl nieodzownej koncentracyi wszystkich uczonych polskich w Królestwie, nawołując do wskrzeszenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie. W sprawie tej w jednym z następnych Nr. „Tygodnika illustr.“ prof. Adam Kryński zamieścił list, w którym stwierdza, że podniesiona myśl wskrzeszenia w Warszawie Towarzystwa jest tylko przypomnieniem, gdyż wkrótce po ogłoszeniu przepisów o towarzystwach i związkach grono ludzi, nauką się zajmujących, zakrzątnęło się około ułożenia projektu ustawy „Towarzystwa Naukowego Warszawskiego“ i projekt ten, opatrzony podpisami założycieli, złożony został władzom do zarejestrowania.

Jako założyciele Towarzystwa podpisali się: *a)* żyjący dotąd profesorowie b. Szkoły Głównej i *b)* członkowie Akademi Umiejętności w Krakowie, zamieszkali w Warszawie. *S. K.*

List do arcybiskupa Popiela. W gazetach można było czytać następującą notatkę: „Dnia 7 listopada 1906 r. arcybiskupowi Popielowi doręczono list treści następującej: Dalej zaś przytaczano treść dosłowną listu, który postaramy się streścić i wyjątki z niego zacytować. Wiadomo każdemu, jakie stanowisko zajął warszawski arcybiskup względem strejku szkolnego i całego ruchu młodzieży w Królestwie, mającego na celu zdobycie polskiej szkoły. Otóż

teraz doszła do młodzieży prywatnych szkół średnich wiadomość, że arcybiskup Popiel zamierza wizytacyę tych szkół. Nic dziwnego, że zamiar ten oburzył młodzież i podyktował jej list, napisany z godnością i taktem. Oto jeden wyjątek z niego: „Uważając, że taki fakt (wizytacya) mógłby poważnie zagrozić bezpieczności i spokojnemu rozwojowi szkół, które młodzież wywalczyła sobie na drodze wielkich ofiar i poświęceń, a dla których Wasza Ekscelencya w ciągu całej akcyi miał tylko słowa bezgranicznego potępienia, my, podpisani na niniejszej odezwie, prosimy Waszą Ekscelencyę o zaniechanie tego zamiaru, w przeciwnym bowiem razie oburzenie młodzieży na Waszą Ekscelencyę mogłoby przybrać formy niepożądane, zakłócić prawidłowy bieg nauki i po raz wtóry Wasza Ekscelencya wyrządziłby wielką krzywdę nowemu szkolnictwu“. Dalej w liście młodzież przypomina arcybiskupowi obelgi, jakiemi obrzucał młodzież, domagającą się nowej szkoły i mówi: „Młodzież nie może zapomnieć rusyfikacyjnych nakazów Waszej Ekscelencyi w zakresie przysięgi. Młodzież wreszcie nie może zapomnieć, że Wasza Ekscelencya wyjednał i rozszerzał po kraju encyklikę papieską, która wobec całego ucywilizowanego świata oszczerczo oskarżyła Naród polski o rzezie żydowskie... „Niech tedy ta Wasza Ekscelencya zostawi te nasze szkoły w spokoju, niech kwitną, niech nas kształcą i niechaj tego jedynego dobytku naszego nie burzy zjawieniem się swojem“. Następuje 200 podpisów młodzieży szkoł średnich, klas wyższych.

Oto, czego doczekał się arcybiskup Popiel za swój fałsz i serwilizm wobec władz. Z jednej strony podziwiać trzeba cywilną, że się tak wyrazimy, odwagę arcybiskupa, który miał zamiar wizytować szkoły, na które błotem rzucał, z drugiej zaś strony fakt i instynkt młodzieży, która broni się wszelkiemi siłami od podobnie obelżywej wizytacyi.

Szkoła ochroniarek w Warszawie, prowadzona przez p. Marciszewską, została niedawno otworzona przy „Domu Towarzystwa Opieki nad dziećmi“. Szereg dobranych nauczycieli i nauczycielek wykłada: religię, historyę cywilizacyi, historyę Polski, przyrodę, krajoznawstwo, literaturę, pedagogikę itd. Kurs szkoły jest dwuletni, po jednym roku nauki uczennice otrzymują dyplom na ochroniarki, kurs drugoroczny jest dla panien, kształcących się na nauczycielki ludowe.

„Pomoc własna“. Pod tym tytułem funkcyonuje od niedawna kasa wzajemnej pomocy dla kobiet w Warszawie. Kasa ta liczy już dziś dużo uczestniczek i zyskuje coraz więcej, dzięki różnym korzyściom, jakie im ofiaruje. Świeżo znów zorganizowała kasa dla swych uczestniczek tanią poradę lekarską i tańsze środki lekarskie; prócz tego kasa wydaje pożyczki, ma założyć własne letniska, dostarczy członkiniom wszelkich towarów po niższych cenach i wogóle zapewnia wiele materyalnych korzyści. Jest, ma się rozumieć i duchowa korzyść, a to w poczuciu solidarności, jaka budzi się w tego rodzaju zrzeszeniach.

DYLETANCI GRZECHU — HALKI SZARSKIEJ.

Malutka książeczka... Tylko 80 stron... „Dyletanci grzechu“ — Halki Szarskiej. Może w jakiem piśmie była wzmianka? Czy ja wiem! Wypożyczalnie książek w katalogach nie mają nazwiska autorki. Ot, trafem dostało mi się do rąk te kilkadziesiąt krwią serdeczną napisanych kartek... I właśnie na szpaltach „Nowego Słowa“ wypowiedzieć pragnę swoje wrażenia.

„Sztuka w trzech aktach“, tytuł wyżej podany, osoby: Doktor Zygmunt, Jadwiga jego żona, Stefania, siostra Jadwigi, Władka, Marta, Tola, służba. A treść?... treść — to przeważnie zwierzenia udręczonych życiem dusz, to wybuchy długo tajonych mąk.

Jadwiga męża nie kocha; za późno zrozumiała, że nie kochała go nigdy. A teraz... dziecko, obowiązek, opinia, — i życie, pełne wzajemnego wstrętu, głód szczęścia.

Zygmunt kocha Władkę, artystkę; błahe nieporozumienie stanęło między nimi — ot, zwykła historya: ożenił się z Jadwigą.

A inni? Taka Tola, w żałobie po śmierci człowieka, któremu żoną nie była: obawiali się dzieci, pieniędzy nie mieli, pracowali oboje w partyi. On, zmęczony takiem życiem, zwaryował i w napadzie furyi zgwałcił ją... Lekarz później skonstatował, że próżne były ich obawy, bo matką nie byłaby nigdy.

Przyszły dnie długie u łoża umierającego idyoty; tęskniła do światła, łaknęła życia... W domu bywał co dzień doktor Zygmunt — i stało się to, co dla niej jest wiecznym wstydem wobec uświęconych praw obowiązku, — dla niego... epizodem tylko.

Dalej — Marta przeszła przez życie, głodna szczęścia, w oczekiwaniu człowieka ukochanego, co pojechał byt zdobywać na ich wspólne życie, a przysłał... fotografię synka, bogatej swej żony... Młodość przeszła, została gorycz, zawód, no... i praca nauczycielska.

Pozostaje Władka. Po zerwaniu z Zygmuntem poszła w życie... artystka... Sztuka wabiła ku sobie... szła, zdobywała sławę, depcząc utarte formy i wyzywając zuchwale opinię przeciwko sobie, szła oszołomiona życiem wśród cyganeryi artystycznej, wiecznie drażniona i drażniąca, szła, by zmęczona długiemi walkami i szamotaniem się — wrócić i z głodem szczęścia rzucić się w wyciągnięte ramiona niezapomnianego doktora Zygmunta. Chwila szału, błysk szczęścia... później ląk ujawnienia „grzechu“ w postaci poczętego dziecka — wreszcie samobójstwo w chwili, gdy doktor Zygmunt z żoną biegnie do duszącego się od dyfterytu ich dziecka, legalnego dziecka.

To treść w zarysach. Trzeba było głęboko patrzeć w życie, żeby zobaczyć to, co tak bardzo kryje się w duszach ludzkich, w duszach kobiecych... Trzeba było mieć wielką moc ducha, żeby tak bezwzględnie zedrzeć maskę konwenansu z duszy sióstr swoich...

Rzadko mamy utwór pióra kobiety... o kobiecie, o ile nie weźmiemy oczywiście w rachubę różnych idylli z jednej strony, a pornografii z drugiej. Tu jest szczerość, szczerość, co z jękiem przez usta przechodzi, tu jest ból, co tak często życie całe łamie, tu jest podwójna moralność, owa klęska życia... owa klęska, którą jednak całe nasze burżuazyjne wychowanie z taką miłością pielęgnuje i pielęgnować pragnie...

Autorka dała kartę z życia, dała protest, dała jęk, który zlewa się w jeden ton, silny — z krzykiem, co z piersi każdej istoty nękanej wyrywa się...

Z tego to względu właśnie na szpaltach pisma bojowego chciałam umieścić wzmiankę o tym utworze.

Józefa Antonowicz-Kuczewska.

Drukarnia Aleksandra Rippera w Krakowie, Zielona 7

Szkodliwość nikotyny usunięta.

„SALVESOL“

pochłania nikotynę, a właściwie naukowo wyrażając, tworzy z nikotyną związek chemiczny nierozpuszczalny w wilgoci i tej to właściwości zawdzięczać należy, że nikotyna nie dostaje się do ust, a tem samem usuwa się jej szkodliwe działanie.

O dobroci i doniosłem znaczeniu tego preparatu świadczą rozpowszechnione tutki cygaretowe ze „Salvesolem“ — oraz uznanie, jakiem raczył mnie zaszczycić WPan Prof. Dr. A. Mars.

WP. Mr. farm. W. Bełdowski w Krakowie.

Z przyjemnością donoszę WPanu, że od czasu, jak używam Pańskiej waty „Salvesol“ w cygarniczkach szklanych, nie doznaję przykrych objawów, które mi dokuczały skutkiem palenia tytoniu. Wobec tego upraszam o nadesłanie mi za pobraniem pocztowem i t. d.

Lwów, 2 maja 1903. *Z wysokiem poważaniem*

Prof. Dr. Antoni Mars.

Oryginalny pakiecik „Waty Salvesol“ wystarcza na 200—400 papierosów lub cygar.

1.000 tutek „ze Salvesolem“ kor. 2·80. Pakiecik waty „Salvesol“ 30 lub 60 hal.

10 Cygarniczek szklanych 1 kor. 20 hal.

Wyroby te poleca: Zakład przemysłowy wyrobów papierowych „Noris“ **M. W. BEŁDOWSKI, Kraków.**

Po nizkich cenach w wielkim wyborze

na sezon jesienny i zimowy poleca

FRANCISZEK MARTIN

KRAKÓW, RYNEK GŁÓWNY 12

Płaszczyki, żakiety, peleryny i sukienki dla panienek do lat 16. — Ubranka, paltoty, kurtki dla chłopczyków do lat 12.

Ubranka i buciki włóczk., kapuzy, kapelusze, czapki, kamasze, rękawiczki, pończochy i bieliznę dziecinną jakoteż całe wyprawki dla noworodków.

W niedziele i święta zamknięte!

Wydawczyni i Redaktorka: Marya Turzyma.

Drukarnia Al. Rippera w Krakowie.